R·k IV. Katowice, 3-go grudnia 1905 r. Nr. 48.

Rodzina chrześciańska

Pisemko poświęcone sprawom religijnym, nauce i zabawie.

Wychodzi raz na tydzień w Niedzielę.

Bezpłatny dodatek do „Górnoślązaka“ i „Straży nad Odrą“.

Na niedzielę pierwszą Adwentu

Lekcya

z listu do Rzymian 15, 4—15.

Bracia! cokolwiek napisanc ku naszej nauce napisano abyśmy przez cierpliwość i pociechę pisma, nadzieję mieli. A Bóg cierpliwości i pociechy niech wam da, abyście jednoż między sobą rozumieli wedle Jezusa Chrystusa, abyście jednomyślnie jednemi usty czcili Boga i Ojca Pana naszego, Jezusa Chrystusa. Przeto przyjmujcie jedni drugich, jako i Chrystus przyjął was ku czci Bożej, aby utwierdził obietnice ojców. Lecz poganie, żeby za miłosierdzie czcili Boga, jako napisano: dla tego będę Cię wyznawał między pogany Panie! i będę śpiewał imieniowi Twemu! I znowu mówi: weselcie się poganie z ludem jego; i znowu: chwalcie Pana poganie i wysławiajcie go wszystkie narody. Tak też mówi Izajasz: Będzie korzeń Jessego, a który powstanie panować nad pogany, w tym poganie nadzieję pokładać będą. A Bóg nadziei niech was napełni wszelaką radością i pokojem w wierze, abyście obfitowali w nadziei i w mocy Ducha świętego.



Ewangelia u św. Mateusza

24, 15—35.

Onego czasu, usłyszawszy Jan w więzieniu dzieła Chrystusowe, posławszy dwu z uczni swoich, rzekł mu: Tyżeś jest, który miał przyjść, czyli innego czekamy? A odpowiadając Jezus, rzekł im: Szedłszy, oznajmijcie Janowi, coście widzieli i słyszeli: ślepi widzą, chromi chodzą, trędowaci biorą oczyszczenie, głusi słyszą, umarli zmartwychwstają, ubogim Ewangelią opowiadają. A błogosławiony jest, który się ze mnie nie zgorszy. A gdy oni odeszli, począł Jezus mówić do rzeszy o Janie: Cóżeście wyszli na puszczą widzieć? trzcinę chwiejącą się od wiatru? Ale coście wyszli widzieć: Człowieka w miękkie szaty obleczonego? Oto którzy w miękkie szaty się obłóczą w domach królewskich są. Ale coście wyszli widzieć? Proroka? Zaiste powiadam wam, iż więcej, niż Proroka. Boć ten jest, o którym napisano: Oto ja posełam Anioła mego przed obliczem twojem, który przygotuje drogę twą przed tobą.

O Odpustach.

Dwa są rodzaje kary za grzechy, jak to już wiemy z poprzednich rozdziałów: kara wieczna w piekle za grzechy śmiertelne i kara doczesne za grzechy wszelkie, które zostały nam wprawdzie odpuszczone w Sakramencie Pokuty, ale za które jeszcze ostatecznie zadość nie uczyniliśmy.

Otóż Pan Jezus w nieskończonej swej ku nam miłości, udzielił Kościołowi św. moc nadawania odpustów, to jest darowania po odbytej Spowiedzi kar doczesnych, które mieliśmy odpokutować albo tu, albo w czyścu. Odpustów udziela nam kościół w nagrodę za pewne modlitwy, albo dobre uczynki, płacąc za nas sprawiedliwości Bożej z niewyczerpanego skarbu zasług Chrystusowych i Świętych Pańskich. Następujące podobieństwo najlepiej nam wyjaśni tę tak dla nas pocieszającą naukę Kościoła św.

Pewien chłopiec za ciężkie przewinienie został skazany przez ojca na zamknięcie o chlebie i wodzie. Tymczasem matka, współczując cierpieniu dziecka, rzecze mu: »Zasłużyłeś wprawdzie na surową karę, ale jeśli dobrze odrobisz to zadanie, prosić będę ojca, by ci przebaczył«. Chłopiec spełnił rozkaz matki, która wyjednała mu za to u ojca odpuszczenie kary, czyli odpust. Tak samo postępuje sobie z nami, dziećmi swoimi, Kościół św., wstawiając się za nami do Pana Jezusa, a nigdy napróżno.

Inny krnąbrny chłopiec również na srogą zasłużył karę, co widząc siostra jego czyni coś bardzo dobrego, by się ojcu przypodobać i za pośrednictwem matki wyjednać u ojca odpuszczenie kary dla brata. Podobnie rzecz się dzieje w wielkiej rodzinie chrześciańskiej, w Kościele św., do którego mamy szczęście należeć. Odmawiając niektóre modlitwy, zbogacone odpustami, spełniając dobre uczynki, możemy zyskać odpust dla braci naszych w czyścu cierpiących, który to odpust zmniejsza ich cierpienia, albo zupełnie niebo im otwiera.

Pamiętać jednak należy, iż dla dostąpienia odpustu, trzeba być w stanie łaski, co prostem jest i naturalnem. Czy siostra, o której wspomnieliśmy, byłaby mogła wyprosić dla brata przebaczenie, gdyby wprzódy sama była zasłużyła na gniew ojca i jeszcze go za to nie przeprosiła? — Trzeba koniecznie wypełnić wszelkie warunki, konieczne do pozyskania odpustu.

Przeliczne odpusty pozyskać można, odprawując drogę krzyżową, należąc do pobożnych bractw i stowarzyszeń, jak naprzykład do Apostolstwa modlitwy, do bractwa Różańca św., odwiedzając chorych, ucząc dzieci katechizmu. Kto jest członkiem arcybractwa Niepokalanego Poczęcia Najśw. Panny Maryi, dostępuje bardzo wiele odpustów za każdorazowe odmówienie 6 Ojcze nasz, 6 Zdrowaś Marya, 6 Chwała Ojcu, ku uczczeniu Trójcy Przenajśw. i Niepokalanie Poczętej Najśw. Panny Maryi, na intencyą Kościoła św. — Krótkie westchnienia, jak: O Maryo bez zmazy pierworodnej poczęta, módl się za nami, którzy się do Ciebie uciekamy. — Słodkie Serce Jezusa bądź moją miłością. — O mój Jezu miłosierdzia są wzbogacone 100 albo 300 dniami odpustu. Za odmówienie po Komunii św. i przed wizerunkiem Jezusa ukrzyżowanego znanej modlitwy: »Oto ja, o dobry Jezu« pozyskać można zawsze odpust zupełny. Mając tak łatwy sposób czerpania z nieprzebranych zasług i skarbów Chrystusowych, czyż nie byłoby niedbalstwem nie do darowania pozbawiać tylu dobrodziejstw siebie i dusze zmarłe, które za pomoc udzieloną tak bardzo umieją być wdzięczne. Niechaj dalekie będzie od nas takie lenistwo i lekceważenie; przeciwnie, szanujmy i czcijmy odpusty, starając ich się pozyskać jak najwięcej.

Śpiew historyczny.

Jan Tarnowski.

(Żal rycerza nad zgonem hetmana swego.)

Czemuż mię losy zbyt nielitościwe
Na ten smutek zostawiły?
Czemu nie stąpią te już włosy siwe
Do jednej z tobą mogiły?
Z tobąm ja walczył, obce zwiedzał kraje,
Tyś poległ, a ja nieszczęsny zostaję.

Pamiętam, kiedy przed laty już wiela
Wysłał cię Czarny Zawisza,
Mnie ci młodemu dał za przyjaciela
I za broni towarzysza.
W Syryi, w Egipcie, w skałach Palestyny
Wkrótce dzielnemi wsławiłeś się czyny.

Taż żądza chwały dzielne Lecha plemię
Do ustawnych bojów nieci,
Nie dosyć jemu własnej bronić ziemie,
Gdzie tylko wojna, tam leci.
Któraż kraina tak jest oddalona,
Żeby krwią naszą nie była zbroczona?

Już nie podniesiesz tej dzielnej prawicy,
Którąś gromił najezdników!
Już cię nie ujrzą starzy wojownicy
Na czele walecznych szyków!
Pokój twym cieniom, o mężu wsławiony,
Zawsze zwycięzca, nigdy zwyciężony.

Tak gdy wspomina wodza żołnierz stary,
A żal go ciśnie głęboki,
Zwolna idące ujrzał czarne mary,
Na nim Tarnowskiego zwłoki;
Wojsko, ród smętny, wśród płaczu i łkania,
Do ostatniego wiedli je mieszkania.

Przodem mąż zbrojny niósł proporzec długi,
Uwieńczon ciemnym wawrzynem,
Na nim pisane hetmana zasługi,
Zwycięstwo pod Obertynem,
Homel, Starodub dzielnym szturmem wzięty
I dumny Wołoch pod jarzmo ujęty.

W Pańskiej świątyni w złotogłowej szacie
Uchański czułą wymową
Wspomniał, jak stale Tarnowski w senacie
Był ojczyźnie radą zdrową,
Czcił tron, praw bronił, swobody szanował
I wściekły rokosz powagą hamował.

Tu już zaczęto obrzędy rycerskie,
Husarze w hartownej stali
Buńczuk horągwie i sajdaki perskie
O twardą trumnę łamali;
Dalej kiriśnik, w misiurce i zbroi,
Wjechał na koniu do świętych podwoi.

Zrazu koń wolnym postępował chodem,
Głowę miał smutnie zwieszoną,
Gdy raptem bystrym puścił się zawodem,
A gdy drzewce pokruszono,
Trumna, kiriśnik, ciężkiej zbroi brzemię,
Z potężnym trzaskiem zapadły się w ziemię.

Ten blask, te godła wielkości wspaniałe,
Co w mgnieniu oka zniknęły,
Przywodząc na myśl, jak wszystko nietrwałe,
Łzy patrzącym wycisnęły;
A choć głaz twardy jego zwłoki kryje,
Nie umarł cały, sława jego żyje.

Lecz stratę męża, ten wzór wojowników,
Polak długo opłakiwał,
Starzec w senacie, wódz na czele szyków,
Nie raz cieniów jego wzywał;
Szczęśliwy kraj ten, gdzie w kresie zawodu
Mąż wielki pewien wdzięczności narodu.



Przydatki do śpiewu.

Jan Tarnowski.

Jednym z dawnych lit ratury polskiej zabytków jest życie bohatera, o którym mówimy, przez sławnego Orzechowskiego po polsku pisane: on ród Tarnowskich herbu Leliwa za jeden z najdawniejszych w Polsce uważa. Niesiecki połącza go z domem Spytków z Mielsztyna. Urodził się Jan Tarnowski 1488 roku z Amora kasztelana krakowskiego i Barbary, Zawiszy Czarnego córy, a tak i z ojca i z matki płynęła w nim krew walecznych. Z dzieciństwa osierociały od matki i ojca okazał dowcip

bystry, pamięć prędką i trwałą; w dziesiątym roku po sto wierszów Wirgilliego mówił na pamięć, a w 15 w potrzebach swych pisywał listy łacińskie do króla Olbrachta i rad koronnych. Obyczajem było naówczas, że młodzież szła na dwory ludzi częstokroć mniej możnych od siebie; słusznie bowiem mniemano, że oko bezstronnego przyjaciela prędzej poprawi zdrożność młodzieńca, niż pobłażająca rodziców uprzejmość; ztąd utworzyły się między domami przyjaźnie, które trwały przez bieg życia całego. Jak wszystko dobre, tak i to szkodliwego doznało nadużycia. Niektóre domy, nad równość wznioślszy się bogactwy, trzymały na dworach swoich krociami majętniejszej młodzieży, — niestety — nieraz służące później jako narzędzia do przewagi w obradach publicznych. Młody Tarnowski udał się najprzód do Macieja Drzewieckiego biskupa przemyskiego, który go królowi Olbrachtowi zalecił. Tarnowski na tak wielkie u monarchy względy zasłużył, iż gdy król zachorzał, wszystkim zakazany był przystęp do pokoju, oprócz (jak go naówczas po ojcu nazywano) pana Krakowczyka. Po śmierci króla Olbrachta był na dworze brata jego Aleksandra, nakoniec Zygmunta I, zawsze się ćwicząc w księgach i sprawach rycerskich, słuchając opowiadań hetmanów i sławą okrytych wodzów.

Ciekawość, chęć wydoskonalenia się w sztuce wojennej, żądza nakoniec sławy zawiodła Tarnowskiego do obcych i oddalonych krajów. Zwiedził Syryę, Palestynę, brzegi Afryki; przełożony nad częścią wojska Emanuela, króla portugalskiego, w wojnie z Maurami tak ważne poczynił mu posługi, iż król ten z trudnością odpuszczając go od siebie, kosztownemi obdarzył go upominkami. Tarnowski, zwiedziwszy Europę, powrócił do ojczyzny z listami zalecającemi go Zygmuntowi I od papieża Leona X i cesarza Karola V.

Zwiedziwszy znaczniejsze kraje Europy, pierwsze Tarnowski miał pole w bitwie pod Orszą, gdzie najświetniejsza w kraju młodzież, w jeden zebrawszy się hufiec, obrała go sobie za wodza; tam gdy wojska koronne i litewskie pod wodzą Konstantego Ostrogskiego miały bitwę zaczynać, młodzieniec nasz, ubrany w zbroję i w szyszak po hiszpańsku, wyjechał na harc, wzywając którego z nieprzyjaciół sam na sam na pojedynek. Tak dzielnie i roztropnie Tarnowski poczynał w potrzebie z hufcem swym, iż wielką Moskalom zadawszy klęskę, dwóch tylko towarzyszy utracił: Kmitę i Zborowskiego.

Wkrótce, gdy Zygmunt Ludwikowi, królowi węgierskiemu posiłki przeciw Turkom posyłał, pomimo tylu sławnych naówczas hetmanów, Tarnowskiego przełożył nad nimi. Męztwo i zdatność jego tak były od obcych cenione, iż Niemcy, Czechowie i Węgry, sam nawet Karol V zapraszali go, by wojskom ich hetmanił.

Już był Tarnowski hetmanem, gdy Piotr wojewoda wołoski, hołdownik królów polskich wypowiedział posłuszeństwo i na Pokucie wkroczył, hetman w 5 000 wojska przeciw niemu wyruszył. Bacząc na przewyższające siły nieprzyjaciela, na hufce swe, z niewprawnej jeszcze złożone młodzieży, nie szedł z nią wstępnego staczać boju, ale małemi zaprawiając je utarczkami naprzód pod Grodzkiem z klęską nieprzyjaciela poraził; potem ośmielone już i ochocze wojsko pod Obertynem przeciw samemu stawił nieprzyjacielowi. 25 tysięcy ludu liczył Wołoszyn i dział moc niezmierną. Tarnowski nie miał, jak 5 000 Polaków; od losu bitwy tej zawisły były całość Pokucia, ruskiej ziemi, sława wodza i wojska. Geniusz hetmana, doskonałość szyku, odwaga młodego rycerstwa, więcej uczyniły, niż mnóstwo: zbity ze szczętem w dniu tym Wołoszyn, wszystkie działa i przedniejszych wodzów jego zabrano, oswobodzono państwa granice. Na placu bitwy chwalił hetman dzielność swego rycerstwa i walecznym nagrody rozdawał.

Niespokojny Wołoszyn, niedość upokorzony poniesioną klęską, znowu wichrzyć i wojska zbierać rozpoczął. Tarnowski wchodzi na Wołoszczyznę, Chocim zdobywa; przelękniony hospodar prosi o pokój, w Chocimiu w osobie Tarnowskiego królowi hołd oddaje i wierność przysięga.

Zaledwie uspokojono Wołocha, gdy Iwan Iwanowicz, wielki kniaź moskiewski, srogą wojnę podniósł przeciw królowi. Najbardziej zagrożona Litwa żąda od Polaków pomocy a nadewszystko doprasza się u króla, by nie kto inny tylko Tarnowski wojskom przywodził. Z wybornym pocztem ludu wódz do Wilna przybywa, w obecności Zygmunta wywodzi w pole świetne swe szyki, hetman litewski idzie dobrowolnie pod Tarnowskiego rozkazy. Car moskiewski na odgłos, kto wojskom naszym przywodzi, z ludem swoim w głąb kraju się cofnął. Tarnowski oblega i bierze Homlę, przez 5 niedziel zatrzymał go Starodub, silnie opatrzony ludem i śpiżem; porządnem kopaniem zbliżano się do miasta, Wojciech Starzechowski kierował strzelbą, a gdy z jednej strony podsadzone na powietrze prochy część zamku wyrwały, żołnierz z drugiej wdarłszy się na wały, zdobył tę twierdzę zamożną. Gdyby Tarnowski liczniejsze miał wojsko, lub świeże odebrał posiłki, szeroko naówczas zabory swoje mógłby rozpostrzeć; lecz nieszczęsnym naszego narodu zwyczajem miano dosyć odwagi, by się bić i zwyciężyć, nie miano nigdy wytrwałości, by zupełnie pokonać.

Tyle powodzenia i zwycięstw, świetne dostojeństwa, powaga, dostatki, zbytnie może wynoszenie się niemi, zwykłą między równie możnymi wzbudziły niechęć i zazdrość. Najgłówniejszymi Tarnowskiego nieprzyjaciółmi byli Kmita, wojewoda krakowski, i arcybiskup Gamrat; niestety! już i wtenczas niechęć między kilku możnymi cały naród pogrążała w niezgodzie. W starości Zygmunta, gdy Bona wszystkiem władała, posiadający całą je ufność Gamrat i Kmita używali jej na upokorzenie Tarnowskiego. Sędziwy starzec tak żywo był tem dotknięty, iż już zamyślał o sprzedaniu majątku całego i przeniesienia się do Czech; cofnęła go śmierć Kmity od przedsięwzięcia tego.

Nie był może Tarnowski wolnym od wady tych ludzi przemożnych, którzy acz cnotliwi, acz dobrze ojczyźnie życzący, chcą jednak by wszystko działo się przez nich. Cały atoli żywot jego dowodzi, że w boju był wielkim wodzem, w pokoju radą cnotliwą i zdrową. Szanował on króla, kochał wolność, lecz się przeciwił rozpuście; czcił wiarę, lecz nie dozwalał duchowieństwu górować. Na pamiętnym zjeździe pode Lwowem, gdy szlachta poduszczona od Bony i jej zauszników, zuchwale niesłusznych domagała się ustaw, on jeden przy powadze tronu stanął dzielnie i śmiało.

Surowy w obozach, waleczny w boju, skromny po zwycięstwie, w domowem życiu hojny, uprzejmy i miły.

Milecki, siostrzeniec hetmana, wojewoda podolski w te słowa mówi o nim: Gdym ja na wuja patrzał w wojsku na jakiej sprawie, albo na sądzie hetmańskim siedzącego, drżałem, jako przed obcym i nieznajomym tyranem jakim; a gdym zasię na pokój do niego przyszedł, strach mię on ominął i nic

milszego ani układniejszego nadeń w oczach moich nie było«.

Bogaty, nic nie oszczędzał na wychowanie syna. Trzymał przy nim młodzieńców z pierwszych w Polsce familii, a co więcej najuczeńszych wieku swego ludzi; a gdy go na dwór cesarza Ferdynanda wysłał, wyznaczył mu rocznie 100 tysięcy złotych ówczesnych.

Okazał on znakomicie hojność i wspaniałość, gdy Jan hrabia Spiski, zostawszy królem węgierskim, wypędzony od Ferdynanda, króla rzymskiego, pozbawiony wszelkiego schronienia, udał się do Jana Tarnowskiego; pomimo pogróżek z strony Ferdynanda przyjął go Tarnowski ze wszelką wspaniałością, nie tylko swój zamek z sprzętem bogatym i służbą srebrną do mieszkania, ale tak samo miasto Tarnów, ustąpił, dostarczając mu przez lat dwa z uszczerbkiem własnego majątku, cokolwiek mogło służyć do wygody, rozrywki i wspaniałości życia. Później król ten do ojczyzny i na tron królewski wróciwszy, pamiętny wspaniałego przyjęcia, przysłał Tarnowskiemu tarczę złotą i buławę, 40 000 czerwonych złotych cenioną.

Kochał się mąż ten w naukach i księgarnię swoją rzadkiemi dziełami i rękopisami zbogacił. Podług Warszewickiego pisał on historyę czasów swoich; straty dzieła tego dosyć odżałować nie można.

Umarł mąż ten wielki w Tarnowie w roku 1561 w 73 roku wieku swego. Pogrzeb jego, w powyższym opisany śpiewie, wzięty jest z Orzechowskiego i okazuje wspaniałość, z jaką wodzowie polscy byli chowani. Śmierć jego, mówi Orzechowski, żałosna była Polsce całej; panny tańców przestały, umilkli śpiewacy, zgasła biesiada, a gdziekolwiek się obrócił, nie słyszałeś innego głosu, jeno: »Jużeśmy siedli, jużci nie będzie Jan Tarnowski na podwodziach do Rusi biegał nas bronić«. Sprawiedliwe żale — bo Tarnowski wielkie ojczyźnie swojej uczynił przysługi.

Bohaterstwo córki.

Im bardziej zbliżali się ku Warszawie, tem liczniejsze napotykali gromady uciekających. Woźnica zawiózł Zofię na przedmieście miasta, złożył jej rzeczy, zawrócił konie, a poleciwszy ją Bogu, odjechał najtęższym kłusem. Zofia pozostała ze służącym, ale i ten, przejęty coraz to większą trwogą przed zabójczą zarazą, ledwie odniósł jej rzeczy o kilkadziesiąt kroków od bramy Krakowskiej, rzucił je i uciekł. Zapewne umówił się z woźnicą, że na niego zaczeka. Wielkie tedy, prawdziwie bohaterskie było poświęcenie się Zofii.

Przy bramie stali pachołcy miejscy. Zdziwili się niemało, widząc młodą kobietę, w ubiorze podróżnym wchodzącą tam, skąd inni uciekali.

— A skądże to Bóg was prowadzi, panienko? — rzekł jeden. — Czy przychodzisz tu szukać śmierci?

— Przychodzę ratować mojego ojca, albo z nim razem umrzeć, jeżeli taka będzie wola Boska — odrzekła.

Na te słowa powstali z uszanowaniem strażnicy a jeden z nich, widząc, że Zofia nie uniesie porzuconej skrzynki rzekł:

— Niechże Pan Bóg błogosławi panience; ja za panną zaniosę tę skrzynkę. Dokądże pójdziemy?

— Na rynek, do kamienicy Olkiewicza — powiedziała.

— Wiem, wiem, ale może tam już nie zastaniemy żywej duszy. Jedni pouciekali, drudzy wymarli Młody Olkiewicz niedawno umarł. Czy pozostała żona jego na pewno powiedzieć nie umiem.

Na te słowa dreszcz przejął Zofię. Nic nie odpowiedziała, westchnęła tylko ciężko, przeżegnała się i poszła, a za nią pachołek miejski ze skrzynką na ramieniu.

W owym okropnym czasie magistrat miasta i starsi cechowi wypełniali swoją powinność, jak na poczciwych ludzi i prawdziwych chrześcian przystało.

Duchowieństwo świeckie i zakonne odznaczyło się także odwagą, gorliwością i poświęceniem. Przychodzili z pociechą i świętymi Sakramentami do łoża umierających, a gdy jedni zarazą dotknięci padali, zaraz ich miejsce zajmowali drudzy, nie zrażeni śmiercią swych braci; szczególniej braciszkowie zakonni zasłużyli się bliźnim. Oni to przechodząc od jednego chorego do drugiego, podawali im lekarstwa, jadło, a nawet podejmowali się najniebezpieczniejszej służby około uprzątania nieszczęśliwych ofiar i wywożenia ich z miasta. Codzień rano po wysłuchaniu mszy św. w kaplicy Pana Jezusa u Fary, po przyjęciu Ciała i Krwi Pańskiej, jak w godzinie śmierci wychodzili na miasto, zwiedzali domy naznaczone czerwonym krzyżem, co było wskazówką, że tam znajdują się dotknięci zarazą.

Na rynku stały wozy zaprzężone, a przy nich po dwóch losem wybranych czeladników. Zakonnicy dawali znak dzwonkiem, a na ten dźwięk wóz podjeżdżał pod bramę i przyjmował ciało. Wywożono je za miasto, bosakami ściągano z wozów, wrzucano w doły, zawczasu przygotowane, potrząsano niegaszonym wapnem i przysypywano ziemią.

Po ulicach przechadzało się losem wybranych kilku majstrów i czeladników cechowych lub pomocników kupieckich. Nie pozwalali oni wychodzić na miasto z domów dotkniętych powietrzem morowem, i czuwali nad rozdawaniem żywności i wody, którą wciągali przez okna linkami, opatrzonemi hakiem, albo zagiętym gwoździem. Domy, w których wszyscy wymarli, albo z nich uciekli, zamykano i pieczętowano; w ten sposób pośród okropności i trwogi — utrzymany był jakikolwiek porządek i bezpieczeństwo.

Zbliżyła się wreszcie Zofia do kamienicy ojcowskiej. Z przerażeniem ujrzała drzwi naznaczone czerwonym krzyżem, a gdy już miała ująć za klamkę, zatrzymał ją dozorujący czeladnik.

— Gdzie idziesz, panienko? — zawołał. — Czy nie widzisz znaku krzyża świętego? — Tam jest morowa zaraza, nie wpuszczamy tu nikogo.

— Ach! mój nieszczęśliwy ojciec! — krzyknęła Zofia. — Czy jest w domu? czy jeszcze żyje? Na Boga, zaklinam was, puśćcie mnie do niego! Nie zatrzymujcie mnie. Niech go ratuję w ostatniej godzinie, niech umrę z nim razem!

Wahał się dozorujący, wzruszony i rozrzewniony tym dowodem przywiązania Zofii, i nie wiedział, co czynić.

W tej chwili zbliżył się do nich zakonnik, wychodzący z poblizkiego domu; posłyszawszy słowa Zofii, rzekł:

— Uspokój się, panienko, twój ojciec żyje, ale jest opuszczony i bez pomocy. Wczoraj go odwiedziłem. Anna, służąca, która sama jed a przy nim została, wczoraj była bardzo chora i wątpię, czy dzisiejszą noc przetrzymała.

— A synowa? — zapytała Zofia?

— Ta niedobra kobieta już miesiąc temu, zaraz po śmierci swego męża wyniosła się z miasta, zabrawszy wszystko, co tylko było kosztowniejszego w domu.

— W takim razie puśćcie mnie do ojca, niech wypełnię natychmiast mój święty obowiązek.

— Ale ostrzegam cię, moja panno — rzekł dozórca — że gdy raz wejdziesz, już nie będziesz mogła wyjść z kamienicy, aż po ustaniu zarazy.

— Albo wyjdę zdrowa razem z ojcem, albo oboje wywiozą nas na cmentarz — odrzekła. — W ręce Boga oddaję życie moje.

— Pójdź córko — rzekł zakonnik — ufaj i czyń twoją powinność.

Pobłogosławił ją krzyżem świętym i weszli oboje do wnętrza.

Nie łatwo otworzyli drzwi od sieni, coś je zawalało wewnątrz, a Zofia z przestrachem spostrzegła, że to jest ciało biednej służącej, która skonała w tem miejscu. Zakonnik zawołał ludzi, wynoszących trupy. Zabrali zwłoki, a córka podeszła do pokoju, gdzie leżał ojciec.

Lekko uchyliła drzwi i weszła.

W izbie było ciemno i duszno, widać, że od kilku dni nie otwierano okien. Drżąca, niespokojna zbliżyła się do łóżka i dosłyszała, że chory oddycha. Za chwilę poruszył się. A więc nie umarł!... Jeszcze jest jakaś nadzieja... Spiesznie pobiegła na dół do izby, gdzie poczciwy dozórca złożył jej skrzynkę i koszyczek z lekarstwem.

Za chwilę powróciła i zajęła się przysposobieniem lekarstwa; raz jeszcze odczytała przepis lekarza, twarz i ręce obmyła octem, zaprawionym ziołami, ochraniającemi od zarazy. Zapaliła potem knotek u lampki, stojącej przed obrazem Matki Boskiej i uchyliła firanki od łóżka, lecz ujrzawszy twarz ukochanego ojca, zmienioną prawie do niepoznania, krzyknęła, boleścią przejęta.

Na ten krzyk chory zbudził się z letargicznego snu. Zofia czemprędzej zapuściła zasłonę w obawie, aby jej niespodziany widok nie uczynił szkodliwego na nim wrażenia, lecz Olkiewicz nie mógł poznać nikogo. Ujęła go za rękę, a widząc, że ma skórę rozpaloną i suchą, podała mu lekarstwo, wzbudzające poty.

Nie wiele użyła zachodu, chory natychmiast wypił podany napój. Troskliwie czuwając nad chorym, zajęła się jednocześnie oczyszczeniem pomieszkania: pootwierała okna, wykadziła wszystkie izby jałowcem i bursztynem, a podłogę skropiła wodą. Cały dom był pusty, bo oprócz niej i ojca wszyscy się z niego wynieśli, albo wymarli, umyśliła więc przenieść ojca do wielkiej izby, wychodzącej na Wisłę, skoro tylko będzie można to uczynić.

Nazajutrz zakonnik, zwany ojcem Maciejem zadzwonił do drzwi od kamienicy; Zofia zbiegła na dół i wprowadziła go do chorego. Olkiewicz przepędził noc dość spokojnie. Jeszcze nie odzyskał przytomności, lecz gorączka się nie wzmogła i kilkakrotnie zasnął. Zakonnik uspakajał Zofię i gorącemi słowy pocieszał.

— Miej nadzieję, moje dziecię. Już szósty dzień, jak twój ojciec jest chory, że zaś dotąd nie umarł i nie pokazały się czarne i stwardniałe wrzody, lecz miękkie i czerwone, może wyjdzie z choroby..

Odmówił potem modlitwę, którą z nim razem Zofia powtórzyła i wyszedł, zostawiwszy bułkę, kawałek mięsa i trochę rosołu w garnuszku; wiedział bowiem, że Zofia ani sama nie mogła kupić żywności, ani też jej przyrządzić.

Około siódmej wieczorem chory obudził się i mocniejszym głosem zawołał:

— Anno!

Na te słowa Zofia drgnęła. Czemprędzej spuściła zasłonę na twarz, a przystąpiwszy do łóżka, rzekła przytłumionym głosem, żeby jej ojciec nie poznał:

— Jestem. panie.

— Poczciwa dziewczyno — rzekł Olkiewicz — lękałem się, czy mię nie opuścisz, tak jak wszyscy. Ale nie... Przypominam sobie... Bałem się, czy nie umarłaś, bo także zachorowałaś, nieprawda?

— Tak jest, panie, byłam bardzo chora, ale już jestem zdrowsza, chociaż mówić głośno nie mogę i spodziewam się, że pan także wyzdrowieje.

— Mało mnie to obchodzi, Anno. Cóż mi po życiu? Nikt mnie nie kocha, nikt, niestety! Ale zdaje mi się, Anno, że powietrze w tej izbie jest czystsze i zdrowsze. Przypominam sobie, że kilka razy ktoś mi podawał napój. — Czy to ty, Anno?.. Wiem, że to nie moja synowa. O nie, to ty! wszak prawda?

— Ja, panie — odrzekła Zofia, zaledwie mogąc powściągnąć swoje wzruszenie.

— Ale Anno, jabym się trochę posilił.

Córka podała mu galaretę z porzeczek i pół kieliszka wina. Z radością spostrzegla, że pił i jadł ze smakiem. Przez ten czas wpatrywał się w nią uważnie i pytał, dla czego ma zasłonę na twarzy?

— Po chorobie jestem słaba na oczy i światło mię razi.

— To tak, jak ja, jeszcze mi się ćmi w oczach i widzę, jak przez mgłę.

— Ale gdybym nawet postradała wzrok, jeszczebym dziękowała Bogu, że mię przy życiu zachował.

— Bez wątpienia i ja złożę Bogu dzięki, jeżeli wyzdrowieję... jeżeli zaś umrę... pamiętaj... ale powiem ci to później, teraz jestem bardzo znużony. I prawie natychmiast usnął.

(Dokończenie nastąpi.

Garść ziemi.

I.

On rzucił ojców zagrody,
By w świat wyruszyć nieznany,
I między obce narody
Ponieść swych cierpień kajdany.
Rzucił tłum bratniej drużyny
I czary łąki kwiecistej,
Wziął tylko klejnot jedyny:
Garść czarnej ziemi ojczystej.

II.

I płakał łzami tęsknoty,
Rzucając progi rodzinne,
I matki tkliwej pieszczoty,
Zabawy chłopca niewinne,
Wszystko, co w ziemi miał bratniej,
Znikło w przeszłości ciernistej,
Wziął tylko klejnot ostatni:
Garść czarnej ziemi ojczystej.

III.

Burze mu przeszły nad głową
I nowe czucia przez duszą,
On zawsze myślą cierniową
Rozkrzewiał serca katusze,
Bo gdy już w chwilach natchnienia
Biegł w marzeń kraj promienisty,
Czuł w sercu ciężar kamienia:
Garść czarnej ziemi ojczystej...

IV.

I przebył lądy i morza,
Widział świat cudów nieznany...
Lecz siny błękit przestworza
I ciche ojców kurhany,
Tęsknotę znów w nim budziły
Za rajem łąki kwiecistej,
Skąd wziął z najdroższej mogiły:
Garść czarnej ziemi ojczystej...

V.

A gdy już śmierci godzina
Dni wędrownika przecięła,
I zimna obca mogiła
W łono go swoje przyjęła:
Do grobu bratniej drużyny,
Nad brzegiem góry śnieżystej
Dano mu klejnot jedyny:
Garść czarnej ziemi ojczystej.

Aleksander Kraushar.



AKT MIŁOSCI.

Kocham Polskę z całego serca, z całej duszy i ze wszystkich sił swoich.

Kocham te łany, szumiące zbożem, rzeki, zlewające wody do mórz dalekich, lasy pełne zwierza.

Kocham wsi i miasta, w których mieszkają bracia moi.

Miłuję wszystko, co jest z tej ziemi i co po nad nią się rozpościera — —

Czarne zagony, zieloną ruń wiosenną, łąki pachnące kwiatami, ćwierkanie koników polnych, dzwonienie świerszczów, gruchanie gołębi po lasach.

Brzęk pszczół złotych w słoneczne południe lipcowe, świergot ptaków budzących się o świcie, klekot bocianów nad strzechą.

Miłuję niebo jasne, które się rozpościera nad ziemią moją, słoneczne w dzień, a wyiskrzone gwiazdami w sierpniowe noce rzeźkie i pachnące.

Kocham te szare chaty, słomą kryte i ten lud siermiężny, śpiewający litanie po kościołach. Te drogi puste, przy których stoją krzyże z wyciągnionemi w górę ramionami, te miedze, te wrzosowiska na polanach leśnych, te kępy macierzanek i smółek czerwonych.

Miłuję brzozy białe i wierzby rosochate, i dęby wiekowe i sosny i graby i lipy, pamiętające odwieczne czasy.

Kocham te rżyska rudo-złote, na których się zbierają ptaki w dzień odlotu, te melancholijne ugory, po których błądzi smutek, zrywając złote dziewanny, rosnące na piaskach.

Kocham te deszcze jesienne, dzwoniące o szyby rozpaczą mojej własnej duszy, te mgły, podnoszące się nad równinami, te opary, co wstają z oparzelisk, ten świst wichru, łamiącego suche gałęzie po lasach.

Kocham te białe śniegiem okryte równiny, te drzewa opuszone szronem, te drogi miękkie, po których przemykaja się proste. niekute sanie chłopskie.

A nadewszystko kocham pierwszą zieleń wiosenną, pierwszy dzień słoneczny, zwiastujący mojej ziemi Zmartwychwstanie i obudzenie się ze snu zimowego...

Kocham z całego serca, z całej duszy, ze wszystkich sił swoich.

Zdzisław Dębicki.

Dwa wesela.

Długo biedził stary Kafr, Isi-baja swą kędzierzawą głowę sprzecznemi myślami, nie wiedząc, co uczynić, co wybraś, co postanowić.

Nad wieczorem, zapędziwszy bydło do obory, usiadł na glinianej przyzbie przed okrągłą, jak ul chatą, odczepił od ucha bambusową tytonierkę i począł nabijać krótką fajeczkę z bawolego rogu tytoniem, do którego dla większej smakowitości dodał nieco »i-sangu«, tj. popiołu z ziarna dzikich konopi. Wśród tego myślał:

— Nanga stara już kobieta, niedomaga, źle uprawia kukurydzę i słodkie kartofla; czasby już dać jej chleb łaskawy a wziąć sobie młodą żonę. Upatrzył już nawet dziewczynę tęgą, o szerokich barkach, co pas pola sama na dzień podgarnie, ale cóż... Stary Mgani żąda za nią cztery krowy i jednego bawołu. Trochę tego za wiele, lecz może interes da się zrobić, byle jeno zdecydować się na dalszą kombinacyę: O najstarszą jego córkę, Kumi ubiega się kulawy Ungo i daje mu za nią sześć krów. Ładna to zapłata! Lecz z drugiej strony dziewczyna, jak łania, udźwignie kloc drzewa, cięższy od niej samej. Nie każda pochwali się czemś podobnem. Gdyby wydał córkę — straciłby pyszną robotnicę, to prawda, w zamian jednak zyskałby jednę krowę i młodą żonę.

— Co lepsze? — w tem sęk.

Kiedy tak duma, co lepsze, nadchodzi z pola Kumi. Rzuciła trzy wiązki kukurydzy o ziemię i wyszczerzyła do ojca białe zęby.

Aczkolwiek nie jest w zwyczaju u Kafrów pytać dziewcząt o zdanie, stary Isi-beja przecież powiada:

— Słuchaj, Kumi, Ungo daje za ciebie sześć krów, a Mgani chce za swoją najstarszą cztery krowy i bawołu — co myślisz?

— Który Ungo? Ten kulawy z za rzeki?

— Ten... ten...

— Sześć krów?! To ja więcej nie warta? — pyta Kumi, wznosząc dumnie głową. — Która z dziewcząt naszej osady udźwignie tyle co ja? Niech da sześć krów, jednego bawołu i dwa strusie.

A oba wesela warto razem zrobić, bo mniej się bydła na gody zepsuje.

— Mądraś ty Kumi — rzekł stary — tak też zrobię.

Wstał i poszedł dobijać targu.

Zaczarowany wróbel.

Bajka japońska.

Kiedyś, bardzo dawno żyło w głębi gór sędziwe stadło małżeńskie. On był poczciwiec, ona zgryźliwa i zawistna, przecież wlekli jako tako swój żywot społem i doczekali się poważnej starości.

Pewnego dnia, siedząc, jak zwykle przed chałupą, stary spostrzegł, jak kruk uganiał się za młodym wróblem. Poczciwy starzec w sam czas przyskoczył i odegnał kruka, który gniewnie kracząc, wzniósł się w powietrze. Litościwy starowina zabrał wnet pisklę do siebie, ostrożnie zaniósł do izby i osadził w klatce, gdzie też niebawem uspokoiło się i przyszło do siebie, skacząc i świerkając radośnie. Stary sto pociech miał z mądrością i dowcipem ptaszyny, zwłaszcza, gdy widział jej przywiązanie do siebie. Polubił ją też wielce starowina.

Nie tak wszakże było z jego połowicą. Stara wiecznie zgryźliwa i niezadowolona, nie kryła się z nieżyczliwością swoją do ulubieńca mężowskiego, zazdrościła przysmaków mu dawanych. Wreszcie, gdy pewnego dnia stary wyszedł z domu, dała upust długo żywionej niechęci. Mrucząc, krzątała się po izbie od czasu do czasu rzucając groźne spojrzenia w stronę klatki, gdzie nic nie podejrzywający wróbel skakał i poświerkiwał radośnie. Kobieta stała właśnie przy balii, piorąc bieliznę, a wyprawszy przyniosła krochmal. Wróbel wyleciął z klatki, siadł na brzegu balii i począł dziobać mączkę krochmalową. Stara ujęła wróbla w jedną rękę, a drugą nadstawiła nożyce do wycięcia mu języka.

— Nie będziesz mi przynajmniej teraz hałasować i źreć przysmaków! — mruknęła przez zaciśnięte zęby.

Ptaszę cofnęło główkę, mimo to otrzymało cięcie w język i zapiszczało tak przeraźliwie, że okrutna baba z przestrachem opuściła ręce, a ono wyrwawszy się z izby, wyleciało w świat daleki.

Gdy po niejakim czasie stary powrócił do domu, opowiedziała mu całe zajście, wyburczawszy jego samego w dodatku za to, że się ujmuje za takim mizernym nicponiem, jak gdyby tu szło o coś niezmiernie ważnego.

Stary wszakże był tak zgryziony zajściem, że zdobywszy się na odwagę, począł bez ogródek wyrzucać swej połowicy brak litości dla biednej ptaszyny i począł jej grozić karą niebios, a wygadawszy się, wyszedł z izby, siadł przed chatą i począł rozglądać się dokoła, ażali nie spostrzeże i nie przywoła ptaszyny napowrót. I tak czynił codziennie, ale napróżno; biednego ptaszka jak nie było, tak nie było.

Dużo od tej chwili czasu upłynęło, gdy w pewien letni słoneczny dzień stary wyszedł z domu i powlókł się ku lasowi, aby w cieniu zarośli jego szukać ochłody przed skwarem. Piękny gaj bambusowy rozciągał się przed nim i tam też skierował swe kroki. Znalazłszy się w głębi ujrzał nagle przed sobą ogród cudowny, którego dawniej nie widział. Zdziwiony, jął się rozglądać dokoła i wrnszcie spostrzegł miluchny domek i wychodzącą z niego prześliczną, uśmiechniętą dziewczynę. Kroczyła właśnie przez ogród, a doszedłszy do furtki, rozwarła ją i witając przyjaźnie przybyłego starca, odezwała się doń:

— Wejdź tu, proszę, stary, kochany przyjacielu Przecie znalazłeś mię nareszcie! Ja jestem tym małym wróblem, któremuś był życie uratował i dałeś gościnny przytułek.

Stary z radości klasnął w ręce, a przyjąwszy zaproszenie nie mógł się dość nadziwić temu, co widział. Tymczasem dziewczyna posadziła go na wezgłowiu i podała mu mnóstwo łakoci, których dawniej nie jadał. Zaledwo uczta zakończyła się ujęła dziewczynka w ręce lutnię, a przywoławszy swe towarzyszki, urządziła muzykę i tańce. Czas tak mile i rozkosznie upływał na zabawie, że stary ani się spostrzegł, jak zmrok zapadł. Co więcej, zachwycony gościnnością i przejęciem, przyjął chętnie zaprosiny pozostania na nocleg. Spał też na bogatej wygodnej macie, którą mu rezesłano na podłodze. Dopiero gdy wesołe promienia słońca poczęły na dobre zaglądać przez zarośla bambusowe, pomyślał o powrocie. Żegnał się więc i dziękował za gościnne przyjęcie, zabierając się do wyjścia.

— Cóż to ty myślisz, że ja cię tak bez żadnego upominku puszczę?! — odezwała się dziewczyna z uśmiechem, przynosząc mu do wyboru dwa pudełka, jedno małe i lekkie, drugie długie i ciężkie. Stary, jak zwykle skromny, wybrał mniejsze, pożegnał jeszcze raz serdecznie i odszedł.

(Dokończenie nastąpi).



Rozmaitości.

— **Wiek ludzki a małżeństwo.** Dowiedzioną jest przez statystyków rzeczą, że mężczyźni żonaci żyją dłużej, aniżeli samotni. Pochodzi to najwidoczniej ztąd, iż żonaci prowadzą regularniejsze życie, niż samotni, którzy po większej części ani nie jadają ściśle o pewnych porach dnia, ani na spoczynek nie udają się regularnie itd. Oczywiście większość nieżonatych, jadając »z niejednego pieca chleb«, jada też z niejednej kuchni obiady i wieczerze, a żołądek ich na różne zmiany bywa narażony i niejedno znosić musi w gospodach, na co wzdryga się żołądek żonatego. Przyzwyczaić się można do wielu rzeczy, więc też wielu nieżonatych obyło się ostatecznie z życiem po gospodach, ale działanie ujemne tego sposobu życia nie da się zaprzeczyć. Skutek ujemny nieregularnego późnego chodzenia na spoczynek, jak się to często zdarza u nieżonatych, częściej niż u żonatych, powiększany bywa poprzedzającym zwykle pobytem w lokalach jeśli nie ciasnych wprost, to bądź co bądź więcej wyziewami różnemi, dymem tytuniowym itd. przepełnionych, niż mieszkanie prywatne, zwykle miejsce pobytu żonatych.

Nie dziw tedy, iż małżeństwo przedłuża ludziom żywot. Stwierdzono, iż u ludzi po skończonym 25 roku życia wyraźnie już zauważyć można różnicę między żonatymi z nieżonatymi — najjaskrawiej zaś okazuje się u osób po 35 roku życia aż do 70. Przeciętnie każdy 26-letni mężczyzna żonaty ma półszosta roku więcej życia przed sobą aniżeli samotny w tymże wieku.

Bardzo ciekawem jest stwierdzenie, iż żonaci rzadziej tracą życie skutkiem nieszczęśliwych wypadków, aniżeli samotni. Jest to zrozumiałem, gdyż ludzie, mający troskę o rodzinę ostrożniejsi są i unikają baczniej niebezpieczeństw.

Potwierdza też stwierdzenie statystyki o przedłużających żywot skutkach małżeństwa pewnik, iż śmiertelność wśród wdowców jest także znacznie większą, niż wśród równych wiekiem żonatych. Oczywiście statystyka wyciąga wnioski z ogólnych liczb; są przecież małżonkowie, prowadzący życie nieregularne — nie trzeba też sądzić, że ożenek jako taki przedłuża życie, jeżeli ożeniony nie zaprzestanie wybryków stanu kawalerskiego. Aleć zwykle i najdzikszemu małżeństwo powoli przyciera rogów, a i takich, co początkowo nie zaprzestają zbyt swobodnego życia i w małżeństwie, powoli pociąga urok pożycia rodzinnego, przykuwa do domu i czyni spokojniejszymi, regularnie żyjącymi ludźmi.

Praktyczne rady.

— **Popękanie i odmrożenie rąk** pojawia się u niektórych osób zwykle z nadejściem zimnej pory i stają się dla nich wielkiem udręczeniem. Celem całkowitego usunięcia odmrożeń należy w jednym litrze wody rozpuścić zupełnie łyżkę miodu i w rozczynie tym myć trzy razy na dzień ręce dokładnie poprzednio oczyszczone. Po ostrożnem osuszeniu rąk wciąga się miękkuchne a czyste rękawiczki i nosi je, dopóki skóra się nie zagoi. W razie, gdy przy pracy trzeba ręce zmaczać, należy je potem starannie osuszyć. Do rozczynu miodowego można dodać łyżkę gliceryny, przez co skutek jest tem pewniejszy.

Do zagojenia odmrożonych członków z otwartemi już ranami okazała się cebula środkiem bardzo skutecznym. Odmrożone miejsca pociera się cebulą na tarce roztartą dwa razy dziennie; w krótkim czasie rany się goją. Już po pierwszem natarciu zmniejsza się ból i znika następnie powyli zupełnie.

Również skutecznem okazało się kąpanie przez kilka minut odmrożonych członków w gorącym odwarze kory dębowej.

Wesoły kącik.

Ucieszny przewodnik polityczny.

Teraz nad wszystkiemi sprawami panuje polityka. Zajmują się nią wielcy i mali, prości i kulawi, ślepi i głusi, mądrzy i głupi, trzeźwi i pijani — mówią o niej głośno i po cichu, w kościele i szkole, na rynku i na ulicach, w domach i gospodach, na stołach i pod stołami, jak tego mamy codzienne przykłady na Śląsku.

Czem jest parlament austryacki? Parlament jest to miejsce, skąd często słychać lament, bo się ludzie pobiją kałamarzami, pulpitami i nożami nawet. Przebywać w parlamencie jest wielkiem niebezpieczeństwem dla zdrowia, życia i mienia, dla tego też jego członkom płacą po 20 koron dziennie. Wstęp na przedstawienia parlamentarne bezpłatny. Ostatniemi czasy wprowadzono do parlamentu jako nowość koncerty na piszczałkach, trąbach, harmonikach i bębnach, koncerty te jednak z braku odpowiedniego kapelmistrza nie udają się.

Czem są:

»*Burżoazya*«. Klacz ujeżdżana wytrwale przez socyalistów. (Patrz kapitalizm).

»*Kapitalizm*«. Koń stanowiący parę z burżuazyą.

»*Socyaliści*«. Stronnictwo ludzi odznaczających się wiecznem niezadowoleniem, krytykowaniem wszystkiego i czerwonym kolorem.

W szkole.

Nauczyciel: Powiedz mi Jasiu, czy człowiek ma wolną wolę?

Jaś. Nie!

Nauczyciel: Dla czego?

Jaś: Bo jakybm ja miał np. wolną wolę, tobym był dziś do szkoły nie przyszedł!

Ale dostał.

Pewien goławąsy gimnazista jechał na święta do domu. W wagonie kolejowym, wiedząc, że go nikt znajomy nie widzi, wyjął cygaro z kieszeni i zapalił; że jednak w tym samym przedziale była jakaś pani, więc zapytał grzecznie:

— Czy pani pozwoli, że zapalę? Czy pani nie szkodzi?

— O, jak tylko panu nie szkodzi, to już dobrze, odrzekła dama z uśmiechem.

Po ślubie.

Młodzi małżonkowie w miesiąc po ślubie posprzeczali się ze sobą.

— To tak? — woła ona. — Przed ślubem mówiłeś mi, że stworzysz raj, a teraz nie chcesz mi kupić sukni jedwabnej...

— Moja duszko, czego ty chcesz odemnie? — odpowiada mąż. — Słyszałaś też kiedy, aby kto w raju nosił suknie i do tego jedwabne?

W sądzie.

Sędzia do złodzieja: Cóż cię tu sprowadza już po raz dwunasty?

— Policya, prześwietny sędzio.

Największa szkoda.

Chłopiec przychodzi do ojca do szynku i woła: Ojciec, chodźcie do domu, bo matka bardzo chora!

Ojciec: Pójdę, tylko dopiję!

Chłopiec: A mały Jasiek wpadł do piwnicy i nie może wyleźć.

Ojciec: Niech czeka, aż przyjdę.

Chłopiec: A na tej beczułce, coście ją wczoraj przywieźli, pękła obręcz i gorzałka z niej wycieka!

Ojciec: A ty hultaju, czemuś mi zaraz tego nie powiedział? Chodź czemprędzej, bo stałaby się największa szkoda.

ZAGADKA.

Pierwsze powiesz, gdy zdumisz się lub zdziwisz,
Drugie, iż boleść uśmierzy, tę nadzieję żywisz,
Trzecie rzeka w Galicyi, płynie w swem korycie,
A zaś czwarte z pierwszem często służy za okrycie.
Całość — imię, które nosił mąż wielki i sławny,
W państwie wielkiem i potężnem: Macedonii dawnej.

Rozwiązanie zagadki z nr. 46-go:

Okulary.

Nakładem i czcionkami »Górnoślązaka«, spółki wydawniczej z ograniczoną odpowiedzialnością w Katowicach.
Redaktor odpowiedzialny: Antoni Wolski w Katowicach.

